

Cézanne: Most w Maincy (1869)

Farba szybko stygnie.

Most biegnie nad sztywnymi
wodami. Wszystko łączy siły
z brzędem lub zielenią.

Ślady pędzla to nie akcenty,
nie modulacje czy znaki
diakrytyczne światła,
lecz popękane płytki,

ustawione obok siebie
na zniszczonych półkach:
ciężar stał się strukturą.
Most nad sztywną wodą,

drzewami bez ruchu,
zamknięta geometria
z polami pełnymi kolorów,
na pozór wyblakłych,

jakby ta chwila złożona
ze światła, efektu złożenia,
podała się biegowi czasu.
Farba szybko stygnie.

Z przodu po lewej dwa
splątane pnie chcą
odnaleźć formę, ukrytą
w galimatiasie gałęzi

i pni; wypaczone, mocno
zniszczone drewno nad
sztywną wodą, nierówne łuki
z pręgowanego kamienia.

Farba szybko stygnie.
Zostają ślady pędzla.
Dramat perspektyw,
kątów i krzywizn.

Stary most spełnia swój obowiązek.
Nikt by tutaj nie został,
nawet gdyby zniknęły ślady pędzla.
Farba szybko stygnie.

Cézanne na mostku Les Trois Sautets

Nawa

wielkich drzew
nad wodą.

Nawa

wielkich drzew

w głębi wody.
To, co widzimy,
widzimy w momencie

rozpadania się

na to, co widzimy,
jak nagie ciało
zanurzające się w wodzie

na otwartym powietrzu,

lub parujące chmury
przed świtem,
gdy słońce uderza

nas po oczach,

a przez szum mózgu
przebija się
ostrze

ptasiego śpiewu.

Dzień puchnie.
Zanim południe
zdąży ziewnąć,

śpiew i mózg

są już otępiałe.
Pozostaje jedynie
paradoks:

„zwielokrotniony obraz

natury”, rozciągający się
tu i tam, tam
i sam, zdyszane,

boleśnie zniekształcone formy
cierpienia
i rozkoszy.
Na brzegu

rzeki Arc pisał:
„Miesiącami mógłbym
malować
nie ruszając się z miejsca”.

Nawa
wielkich drzew
nad wodą,
wibrujących na czerwono

i żółto, czekających
nad wodą,
aż uwolni je
dotyk błękitu.

Les Trois Sautets: mostek na rzece Arc, w pobliżu Palette, gdzie Cézanne malował w ostatnich miesiącach życia.

Cézanne: Pejzaż jesienny (1883–1885)

Miśnieńskie glazury
neony w świetle dnia

kolorowe wyziewy
z polerowanych emalii

eksplozje akryli
wyziewy z niczego kolory

wybielone lawendy zakurzone
błękity niestyszalne fiołki

neony w świetle dnia
cały dzień jak czwarta po południu

reumatyczne drzewa zapominają
być sobą robić swoje

ktoś przyłożył twarz
do tej sceny

zaparował ją oddechem
zredukował jej paletę

glazury w coraz bardziej
porwanych odcieniach

za miesiąc wyprzedzi nas
nasz własny oddech

Zbiórca wiersz o martwych naturach

Spokój tych rzeczy,
obrazy spokoju:
jabłka, cebule, cytryny,
kubek, szklanka, butelka, talerz,
koszyk, trąbka.
Obrazy i rzeczy,
przedmioty wykonane ręką
pod oko.

Obrazy i rzeczy,
w których można
widzieć znaki
codziennych działań,
pierwszy raz ujrane
z wielu perspektyw naraz
przez tłum patrzących.
Przestrzeń przed

płótnem staje się wspólna,
to miejsce spotkania, forum
poglądów, własność publiczna,
już nie tylko spojrzenie malarza,
lecz nas wszystkich; wspólnie
widzimy spokój w tych
rzeczach, spokój w obrazach,
przedmioty na każde oko.

Biel

Białe plamy
na ostatnich obrazach;
rany zadane barwom;
blizny w świetle,

po między owocami
i obrusem,
lub na szczycie góry,
wciąż się otwierają.

Biel jest głodna,
pogłębia kolory,
brak i ton,
trend i rant,

wprawiają się w nieustanne
wibracje, tworząc
zmienny spektakl
żywej przestrzeni.

Biel staje się
ośrodkiem przyciągania
dla pragnień
nieznajdujących wyrazu,

zakłóceniem porządku,
które samo jest porządkiem,
dysonansem
rozciągającym się w miejscach

bez miejsca.
Biel jest otwarciem.
Cisza nadaje kształt
muzyce.

Widok

Żyć tu przez chwilę
inaczej, poczuć,
jak pracuje ciało,
jak biegnie czas.

Zobaczyć się na inne
sposoby. Wczoraj
zostałem przez coś ugryziony
i stałem się mięsem.

Żyć przez chwilę
inaczej, zbadać
moment obrotowy
i urok dwóch

wężowych kręgów
pod niskim murem,
toczyć i być toczonym
po krawędzi,

poczuć ukąszenia form
minionego czasu,
perwersyjne, zmysłowe
prakształty,

zawsze znaczące,
jakkolwiek
obracać je
w palcach.

Żyć tu przez chwilę
inaczej, odkryć,
że to, co musi zajść,
zachodzi.

Róg nad morzem

Kiedy szliśmy brzegiem morza,
podszedł do nas mężczyzna i powiedział
o wielkim rogu wiszącym na ścianie wody.
Nigdy go nie zauważyliśmy.
Zjawili się ludzie chcący w niego zadąć.
Tkwiał w tym jakiś żal,
nie do końca jasny.
Rogu nie dało się unieść, był chyba za ciężki.
Chcieliśmy powiedzieć,
że nie każda śmierć to śmierć na morzu,
a ciało nie zawsze jest stracone.
Tymczasem mężczyzna mówił o rogu.
Ludzie przychodzili, żeby w niego zadąć.
Tkwiał w tym jakiś żal,
ale było też morze,
kotłyszące się wte i wewte, wte i wewte.
Tkwiał w tym jakiś żal,
ale było też morze,
jego wdech i wydech, wdech i wydech.

Blisko śmierci

pamięci Elizabeth Kübler-Ross (1926–2004)
w Dniu Pamięci Ofiar Holokaustu, 27.01.2005

Ostre podmuchy styczniowego wiatru
smagają nas, gdy przemierzamy miasta,
pastwią się nad nami, pełnymi żalu,
bo dni są krótkie, a wielkie czerwone słońca
zachodzą i znikają zaraz po tym,
gdy rozblły się ogniem.
Dobrze, że umarłaś w sierpniu.
To czas opatulony podróżami.
Kolejna zima oznaczałaby
zniechęcone oczekiwanie,
zamkniętą bramkę na lotnisku, samolot gotowy,
ale nieruchomy, skończoną pracę.

Zaczęło się w Majdanku
od rojów motyli
na ścianach baraków.
Żadnej nadziei.
Dzieci wskrobały nazwiska
wszystkich żyjących.
Setki motyli.
W Majdanku był początek.
Motyle na niemych ścianach
zaczęły mówić.

Przeskok o jedną, dwie dekady:
jak Zachód długi i szeroki,
nikt nie umierał, nikt.
Lata pięćdziesiąte, potem
sześćdziesiąte, lekarze nie mieli
wątpliwości: „tu się nie umiera!”
Odwiedzałaś szpitale,
przemierzyłaś arktykę samotności,
sale z umierającymi,
miejsca bez odpowiedzi.
Wypowiadałaś za nich słowa,
które mogłyby wypełnić świat.

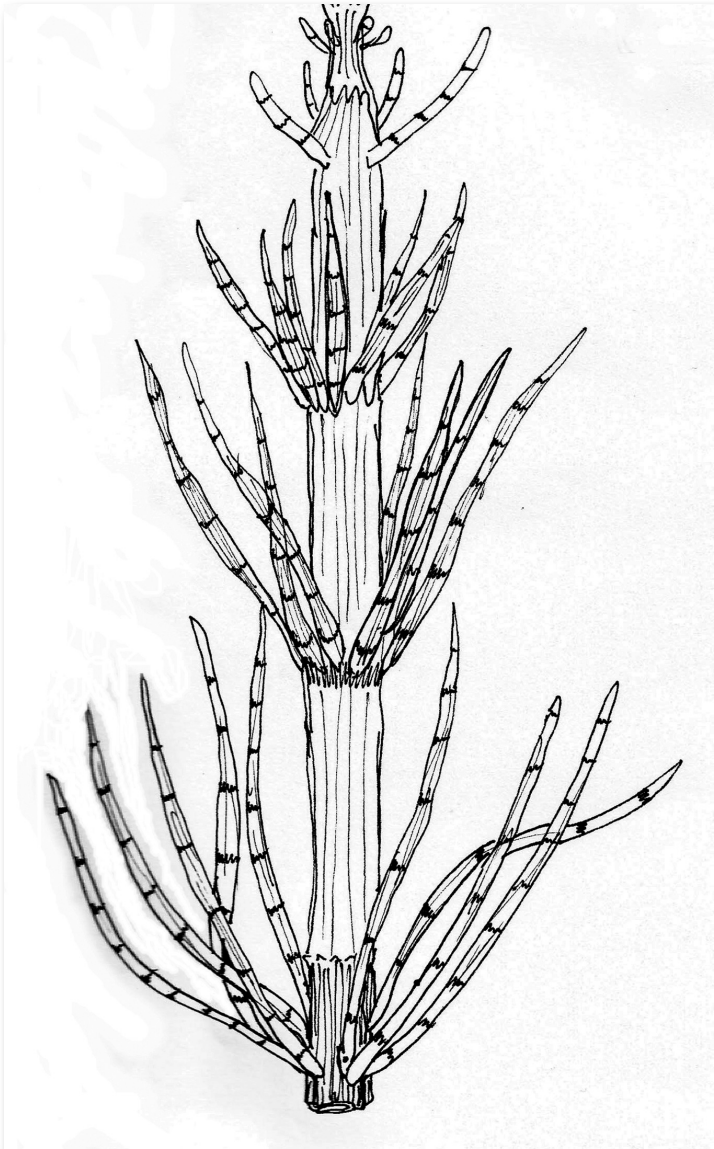
Pod koniec życia, po zawałach
i pożarze, gdy czekałaś już tylko na

„przejsie” (twoje słowo),
wszystko uległo zmianie, pojawili się krytycy.
Niektórzy stwierdzili, że te pięć etapów
brzmi zbyt ładnie; ktoś powiedział, że nie ty

je wymyśliłaś. W naszych nowych czasach
prawda zmienia się w modę, styl.
Tacy jak ty nie budzą już zaufania:
charyzmatyczni, namiętni,
pozbawieni sentymentów,
potykacie się w mroku europejskiej historii,
mówicie jej szorstkim językiem,
oślepieni światłem, które dzięki wam przetrwało
w cudownych, baśniowych opowieściach.
Ale my mamy dość
udawanej moralności

i wyznań wiary. Chcemy tylko
rzeczywistości, wszystko inne
jest nieważne. Nowe czasy
odmieniają prawdę, wymazują chwilę,
którą uchwyciłaś i tym samym stworzyłaś.
W sześćdziesiątym dziewiątym
Ameryka prowadziła ze sobą
wojnę w sprawie wojny.
To było jak rzyganie śmiercią
i nieustanne zjadanie rzygów.
Naród przetrwał tyle śmierci,
że zaprzeczanie straciło sens.

W jednej z sal wspominamy
zmarłych filmami i poezją.
Otwieramy usta i mamy śmierć
na języku w pustej sali; obserwujemy
grę światła na czystych ścianach.
Nieco dalej na drodze kontrola
pilnuje kolejności odlotów
i spiętrzonych przylotów, równoważę
piskliwy hałas startów niskim
brzęczeniem gasnących silników.
Wiatry smagają nas w pustej sali,
wyją w szparach, w naszych ustach.



Maria Cielecka, *Grafika*